



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



BOŚKUK OPADNIĘTY PRZEZ JAMNIKI.

Niejeden z czytelników naszych rzuciwszy okiem na
niejszą rycinę, w zwierzęciu na niej przedstawionem, pozna
Borsuka, którego skóra z dawien dawna używana bywa u nas

na torby myśliwskie. Położenie jego wpośród zajadle nacie
rających jamników, nie jest godne zazdrości.

Psy te o krótkich i krzywych nogach, są to jego najnie-

bezpieczniejsi prześladowcy, gdyż raz trafiwszy węchem na trop jego nory, dotąd nie przestają kopać, aż się dostaną przez ciemne korytarze do samego mieszkania borsuka, aby go ztamtąd wypłoszyć. Podobna walka nie zawsze się kończy tryumfem dla piesków, bo podziemny gospodarz, czując się u siebie, znajduje nieraz straszne fortele do obrony i często za zbliżeniem się jamników, zasypuje przed nimi wejście do swojej twierdzy. Psy z nosami i oczami zapruszonymi ziemią, cofają się mimowoli, lecz wtedy to zwykle myśliwiec pospiesza im z pomocą, obalając kilku poruszeniami rydla wzniesione barykady. Borsuk jednak potrafiłby i tym razem ująć cało w głąb lasu, gdyby szybszy od jego uóg strzał z palnej broni, nie położył go na miejscu.

Zwierzę to nie jest drapieżnem z natury, gdyż żyje przeważnie ziarnem i owocami leśnymi i tylko w braku takowych, posuwa się do chwytania żywej zdobyczy. Ofiarami jego bywają nówczas myszy, węże, oraz drobniejsze płazy i owady.

Złowiony młodo daje się łatwo oswajać i przywyka do ludzi, przyjmując z ich rąk pokarmy na podobieństwo innych zwierząt domowych.

Oprócz skóry przydatnej do wyrabiania siodeł i torb myśliwskich, borsuk mało przedstawia korzyści, szkodliwym zaś bywa jedynie z tego względu, że niszczy znaczne zapasy ziarna, znosząc je do swej nory i podrywa korzenie drzew leśnych, przeprowadzając pod nimi znane już korytarze.

Nie będąc nigdzie zbyt pospolitym, znajduje się jednak w całej Europie i Azji środkowej.

POGADANKA ZE STARSZYM BRATEM.

II.

Zosia nie zapomniała obietnicy, więc choć po tygodniu zdrową była i wychodzić mogła, przy obiedzie już przypominała bratu przyrzeczoną pogadankę, a przed wieczorem zastukała do drzwi studenta.

— Proszę, proszę, moja ty miłośniczko wiedzy — odezwał się żartobliwie młody człowiek — czy też pamiętasz, o czem to dowiedział się chciałaś?

— Ależ naturalnie — odpowiedziała obrażona trochę — obiecałaś mi wytłómaczyć, jakim to sposobem krew, zbrukana w swej podróży po ciele, oczyszcza się i przybiera barwę czerwoną.

— Prawda, doskonale! Otoż wiesz już, że zarówno człowiek jak zwierzę, aby żyć mogło, musi odżywiać się czyli jeść i oddychać. Post, nawet przedłużony, nie działa wielkiej szkody w organizmie, podczas gdy krótkie powstrzymanie oddychania może nas o śmierć przyprowadzić. Proces oddychania odbywa się w płucach. Przyrząd ten składa się z dwu części, pierwsza zowie się tchawicą, stanowi ją rura złożona z chrząstkowatych pierścieni, która ma związek z jamą ustną. Dolna jej część dzieli się na dwie odnogi, zwane oskrzelami, te rozgałęziają się na coraz drobniejsze rurki, doprowadzając powietrze do drugiej części czyli do płuc właściwych, które tworzą dwa jakby płaty mięsiste, miękkie, gąbczaste, złożone podobnie jak gąbka z maleńkich komórek, do każdej z nich prowadzi kanalik z rozgałęzienia tchawicy. Płaty te otaczają serce.

Płuca odgrywają ważną rolę w naszym organizmie. Oddychamy bezustannie, czynność tę wykonywamy zupełnie instynktownie, bezwiednie. Podzielić ją można na dwie chwile,

w pierwszej wciągamy przez usta powietrze z zewnątrz, czyli wdychamy, wtedy pęcherzyki płucne wydymają się a ścianka piersiowa się rozszerza, w drugiej wyrzucamy powietrze z płuc czyli wydychamy, wychodzi ono tą samą drogą, tylko w kierunku przeciwnym, płuca wtedy zwężają się. Człowiek oddycha 16 do 18 razy na minutę, za każdym razem wprowadza do płuc około pół litra powietrza, co na minutę czyni 9, na godzinę 450 a a na dobę około 13,000 litrów. Przypominasz sobie z pogadanki poprzedniej, że krew, wróciwszy brunatną z owej podróży do komórki prawej, wypełnietu została do tętnicy płucowej, ale ta nim doszła do płuc, rozgałęziła się na tysiące drobnutkich rurerek czyli naczyń włoskowatych, które opłotły delikatną siateczką pęcherzyki płucne, tym sposobem krew spotyka się w płucach z powietrzem, gdyż ono przesiąka przez cienkie błonki naczyń włoskowatych i przez to zetknięcie krew przyjmuje znów kolor czerwony.

— Więc cóż się tam stało, mój drogi, z jakiego to powodu?

— Stała się rzecz bardzo zwyczajna, nastąpiła wymiana materji nieczystych na czyste.

— Czy nie żartujesz ze mnie?

— Gdzieżbym się ośmielił żartować z ciebie, krew w podróży owej z pięknej czerwonej stała się prawie czarną, gdyż po drodze zabierała z tkanek węgiel.

— A skądże się węgiel wziął w ciele?

— Zaczekajże, teraz ja ci postawię pytanie. Co zrobi się z kotлетem, jeżeli go zbyt długo zostawisz na gorącej patelni lub z kartofłami, z chlebem jeżeli wpadną w ogień.

— Cóż się ma zrobić? spala się.

— A cóż to znaczy spala się? zamienia się na węgiel, nieprawdaż?

— Jakże myślisz, czy ten węgiel dostał się tam z patelni, przypadkiem.

— Nie, jest on w mięsie, w chlebie, w owocach, tylko ukryty tak dobrze wśród innych materji, że go dostredz nie możemy. Dopiero gdy ogień zniszczy tamte, występuje sam w całej okazałości. Węgiel jest tak rozpowszechniony w naturze, że nie znajdziesz najmniejszego kawałka ciała pochodzenia roślinnego lub zwierzęcego, gdzieby go nie było. Wprowadzamy go więc bezustannie do organizmu w pokarmach.

Ale wróćmy do owej zanieczyszczonej krwi. Powietrze w zetknięciu z krwią odstępnie jej jedną ze swych części składowych, to jest tlen, a zabiera w zamian ów węgiel, który się tam znajduje w postaci gazu, zwanego kwasem węglowym, ten zaś razem z drugą częścią składową powietrza, to jest z azotem wychodzi tchawicą na zewnątrz. W płucach więc odbył się handel zamienny. Gaz tlen, zmieszawszy się z krwią zużytą (brunatną) natychmiast odświeżył ją i z ciemnej przemienił w jasno-czerwoną. W tym stanie wraca do komórki lewej a stąd znowu w obieg po ciele.

Tu pan Stanisław spojrział na zegarek i wykrzyknąwszy: oh! jak późno, pocałował Zosię w czoło i wybiegł szybko z pokoju. Zosia została tam jeszcze czas jakiś, rozmyślając nad tem, co usłyszała przed chwilą, starając się ułożyć zdołbyte wiadomości tak, aby je dokładnie zapamiętać mogła.

A. R.

LOSZY ADASIA.

przez

Zofię Klawerską.

(Dalszy ciąg).

Adasiowi w tej chwili się wydało, że jest panem bogatych włości, z których, bez pracy z jego strony, płyną mu do kieszeni pieniądze, że już nie potrzebuje się uczyć a tylko podrózczać, jeździć na wyścigi i używać życia.

Gdy wrócił do Warszawy, z kolegami na stancyi rozmawiał o jego swoich koniach wyścigowych. Trochę się z niego śmieli, trochę w jego bogactwo wierzyli.

Pewnego razu w chwili gdy po skończonej korepetycyi Mundzio Zorewicz wychodził z mieszkania państwa Janockich Adaś ozwał się do niego:

— Niech mi pan powie jaki może być stosunek między tą obrzydliwą gramatyką, a wyścigami konnemi?

— Ten — odpowiedział Mundzio bez zająknięcia — że gramatyka jest zasadą mowy, a ludzie mową różnią się od zwierząt a zatem i od konia.

Adaś się stropił na taką odpowiedź, Mundzio zaś kładąc szynel zagadnął:

— Zkąd ci takie zapytanie przyszło do głowy?

— Bo ja kiedyś będę w ten sposób obracał moją fortunę, że będę miał konie i będę wygrywał ogromne sumy na wyścigach.

— O to się podwójnie ucz gramatyki — odparł Mundzio — bo wszelka nauka broni od mówienia niedorzeczności a także od robienia głupstw, a ty teraz mówisz niedorzeczności i jesteś gotów popelniać głupstwa w przyszłości.

— Eeh widzę, że pan się na tych rzeczach nie zna! — zawołał Adaś nieco obrażony.

— Ja się na koniach nie znam — odrzekł Mundzio — ale znam się na osłach. Mam takie szczęście, że mię do nich na lekarza wzywają.

I wyszedł nim się Adaś opamiętać zdołał. Wpadł jednak w złość gdy się koledy śmiać zaczęli.

— Co mi on tu będzie takie rzeczy mówił! — wołał w umiesieniu. — Ja mu płacę za lekcye, on mojej łaski potrzebuje nie ja jego.

— Doskonale ci powiedział! — ozwał się Władysław:

— To cięta sztuka! — zawołał Florek — a wygląda taki niewinny jak panienka!

— Jak ci to on powiedział o tej gramatyce? — zapytał Staś.

— Że gramatyka jest zasadą mowy, a mową ludzie różnią się od zwierząt — odparł Antoś.

— On powinien zostać belfrem — mówił Adaś — Już tak gderze jak belfer. Zrobię ja mu sztukę i wcale się na utro lekcyi nie nauczę!

— Weźmiesz palkę! To dopiero będzie kara dla Mundzcia.

— Ja się nad nim zemszczę! Co on mi tu o osłach będzie dogadywał!

— Jak sobie kto pościele tak się wyśpi — zapiszczał Staś.

Adaś rzucił się za malcem, żeby go uderzyć, ale Staś wymykał się tak zręcznie uciekając koło stołu i zastawiając się krzesłami, że Adaś ani go tknął. Tylko pan Janocki zwabiony hałasem, wszedł do pokoju i zaraz zrobiła się cisza. Za profesorem ukazała się jego żona z zawiązaną głową.

— Ach, Boże, Boże! — ozwał się od drzwi jej głos płaczący.

— Nie przychodź tu — rzekł do niej mąż, odprowadzając ją od drzwi pokoju uczniów — głowa cię boli to siedź w swoim pokoju.

— Przecie trzeba herbatę przygotować dla tych chłopaczysków! Ach, czemu ty nie jesteś profesorem gimnazjum żeńskiego? Trzymalibyśmy dziewczynki i byłibyśmy szczęśliwi! Chłopaczysków, to Pan Bóg stworzył tylko na udrukę ludzkości!

— Głowa cię boli, moja duszo — rzekł profesor — to już rodowi męzkiemu przebaczyć nie możesz.

— Mężczyźni są pożyteczni — odrzekła pani Janocka — szkoda tylko, że nie rodzą się już dorosłymi, bo chłopaczyska to już najszkodliwsze stworzenia na świecie.

Pan Janocki się śmiał.

— Głowa cię boli, moja duszko — rzekł łagodnie.

— Ja to mówię i wtedy, kiedy jestem chora i wtedy kiedy jestem zdrowa! — zawołała pani Janocka — od czego

ty wyłysiałeś i zestarzałeś się przedwczesznie? Od czego ja jestem chora? To wszystko te chłopaczyska!

Nazajutrz Adaś dokonał zemsty nad Mundziem Zorewiczem. Przygotował sobie naprzód młotek i dwa gwoździe, potem wyświdrował dwie dziurki w podłodze w przedpokoju w miejscu gdzie Mundzio stawiał kalosze.

Gdy korepetytor przyszedł i rozpoczął lekcję Adaś pod pierwszym lepszym pozorem wyszedł na chwilę. Skorzystał z niej żeby gwoździami przytwierdzić kalosze Mundzcia do podłogi robiąc w nich dziury. Potem powrócił do korepetytora i zadowolony z zemsty, pilnie przykłał się do roboty.

Mundzio był bardzo wesoły dnia tego. Kontent był z Adasia, przytem braciszek jego młodszy, nad którym wytrwale pracował, zdał egzamin do pierwszej klasy, co było wielkim tryumfem dla brata. Mundzio postanowił braciszka tego przez szkoły przeprowadzić łożąc na jego wychowanie z własnej pracy, postępy więc malca niezmiernie go radowały Opowiadał tedy Adasiowi i jego kolegom jak ten młodszy braciszek bał się egzaminu, jaki był drżący gdy mu pierwsze zapytanie zadano. Wśród opowiadania Mundzio wsunął nogi w kalosze, a w chwili gdy krok postawić usiłował, runął jak długi na ziemię. Adaś w pierwszej chwili zatarł ręce z ukontentowania, ale zaraz potem się zaczerwienił. Żal mu się zrobiło niedobrego postępku, którego się dopuścił. Mundzio podniósł się z uśmiechem, nie rozumiejąc co się stało, że upadł. Zaraz jednak doszedł przyuczyny wszystkiego. Na jego twarzy odmalowała się wielka przykrość.

— Zostawiam te kalosze w darze temu, co mi je popsuł — rzekł drżącym głosem — Kalosze dziurawe przestają odpowiadać celowi. Kupiłem je tydzień temu, a w tej chwili straty tej powetować nie będę w stanie.

Wyszedł, a Adaś ujrzał go idącego trotuarem mokrym w cienkich butach, bez kaloszy.

Teraz już się Adasiowi płakać chciało, że biednego chłopca naraził na przykrość i wydatek. Dla Adasia kupno za parę rubli było rzeczą łatwą skoro pieniądze czerpał z kieszeni ojcowskiej, ale Mundzio na każdy drobiazg musiał zapracować i to zapracować ciężko, bo niejeden wołałby wodę nosić lub kamienie tłuc na szosie niż uczyć dzieci rozpróżniane. I takiemu ubogiemu chłopcu Adaś wyrządził taką krzywdę!

Nazajutrz Mundzio przyszedł zakatarzony i zachrypły.

— Pan takiego kataru dostał? — zapytał Adaś.

— Bo to nie warto do kaloszy się przyzwyczajać, odparł Mundzio — Ale mam niektóre korepetycyje w domach gdzie są posadzki froterowane i dywany. Tam się krzywią gdy korepetytor przychodzi w mokrych butach. Muszę więc nosić kalosze i teraz przyzwyczaiłem się już do nich.

— To niech pan conajprędzej kalosze kupi!

— Kupię, kupię, ale w tej chwili mam pustą kieszeń.

— Na cóż pan wydał pieniądze?

Mundzio zaczął się śmiać.

— Mogę ci zaręczyć — rzekł — że nie kupiłem konia wyścigowego. — Ja jestem zabawny człowiek co się bawi w opiekuna małoletnich. Kupiłem buty dla brata, kupiłem salopkę dla siostry, kupiłem herbaty i cukru dla całej rodziny... Ale mnie pusta kieszeń nie a nie nie martwi! Cóż to ja nie potrafię zapracować na jej napełnienie? A że pochodzę parę dni bez kaloszy? O wielka mi bieda? Dużo na świecie żyje ludzi takich, co nigdy na nogach kaloszy nie mieli!

Jednak Adasiowi było jakoś nieswojo. Ile razy Mundzio z chrypką się odezwał, tyle razy Adasia aż coś w sercu kolnie. Co Mundzio zakaszle, to się Adaś zaczerwieni. Ah coby był dał w tej chwili, żeby mógł sprawić, by to przybicie kaloszy do ziemi nigdy nie miało miejsca!

Po skończonej lekcyi ozwał się nieśmiało:

— Możeby pan wziął moje kalosze, bo ja... ja mam drugie... ja mogę sobie kupić drugie...

— Dziękuję ci Adasiu — odrzekł Mundzio — dobry z ciebie chłopiec, ale ja mam zwyczaj nosić tylko to, co sobie sam kupię.

Adasiowi łyzy w oczach stanęły.

— Bo widzi pan — zawołał — to ja te kalosze do podłogi przybiłem!... Zrobiłem to na żarty... Nie wiedziałem że tym sposobem nabawię pana kataru i kaszlu! Niech pan weźmie moje kalosze! Ja pana o to błagam!

Mundzio podał rękę Adasiowi.

— Przyjaźń twoją przyjąć mogę — ozwał się — ale twoich kaloszy nie wezmę.

Przytem uśmiechnął się bardzo przyjaźnie do Adasia i wybiegł z mieszkania.

Adasia serce zabołało. Spojrzał przez okno, deszcz lał jak z cebra, a Adaś dostrzegł właśnie podczas lekcji, że Mundzio miał podeszwę nieco pękniętą u jednego buta. Co tu począć z takim dumnym chłopcem, który nie chce przyjąć cudzych kaloszy.

Nazajutrz Mundzio nie przyszedł w zwykłej godzinie. Adasia poczęło dręczyć złe przecucie. Wszedł do pokoju pana Janockiego bladej i z wyrazem przestachu na twarzy.

— Muszę prosić pana profesora o jedną wielką łaskę — ozwał się — Mundzio Zorewicz nie przyszedł, a ja go bardzo pokochałem... Wczoraj kaszlał... boję się, że chory... rodzina jego jest uboga... Niech pan profesor zmiłuje się nademną i niech mi pozwoli pójść się dowiedzieć co się z nim dzieje.

— Ja ci pozwolę pójść do Zorewicza, a ty tymczasem pójdziesz na jaką łobuzerkę!

— Nie panie profesorze, jak rodziców kocham pójść tylko do Mundzia Zorewicza!

— No idź, ale wracaj zaraz.

Adaś nie wiedział wcale co miał uczynić, na wszelki jednak wypadek wziął z sobą portmonetkę, w której było parę rubli i pobiegł na ulicę, przy której mieszkał Mundzio. Znał numer domu, dopytał się u stróża o mieszkanie pani Zorewiczowej i dowiedział się, że mieszkała na czwartym piętrze. Adaś się zadyszał nim narreszcie stanął u drzwi na których nazwisko Mundzia napisane było kredą. Zaraz było można poznać, że się wchodziło do mieszkania bardzo biednych ludzi. Było to nie czwarte piętro lecz poddasze. Dwa ubogie pokoiki i malutka kuchenka. Jakaś kobieta bardzo skromnie lecz czysto ubrana, wyszła naprzeciwko Adasia. Miała minę skłopotaną i oczy czerwone od łez.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała.

— Czy pan Edmund jest w domu.

— Jest, ale chory, tylko co wyszedł doktor.

— Co mu jest? — zawołał Adaś z drżeniem w głosie.

Pani Zorewiczowa, gdyż to była ona, przyciszyła głos.

— Doktor się b... boi się zapalenia płuc.

Adaś aż jęknął.

— Zaziębił się — mówiła dalej stroskana matka przemoczył nogi... już przedwczoraj miał dreszcze... Wczoraj

znowu przyszedł w mokrych butach.. podobno gdzieś zgubił kalosze...

Tu już Adaś wybuchnął nie mogąc dłużej panować nad sobą.

— On nie zgubił kaloszy — zawołał — ale ja byłem taki niegodziwy, że zrobiłem w nich dziury i przybiłem je do podłogi! Żałuję teraz tego!.. Chciałbym sam zamiast pana Edmunda chorować na zapalenie płuc... chciałbym zrobić coś takiego, co by mu mogło ulgę przynieść! Może, może... może panu Edmundowi potrzeba pieniędzy?

— Niech pan idzie do niego — rzekła pani Zorewiczowa — on tam w drugim pokoju leży. To dla nas, dla całej rodziny cios gdy Mundzio chory. Toć to nasz chlebodawca! Ja mam ręce zartretyzmowane, nie mogę pracować, emeryturę mam tak małą, że się z niej z kilkorgiem dzieci utrzymać nie mogę! Mundzio nas wspiera i żywi!

W tej chwili z drugiego pokoju ozwał się głos Mundzia.

— Kto tam jest, mam? To pewno przyszedł który z kolegów!

— To ja! — zawołał Adaś — Boże, Boże, jaki ja nieszczęśliwy! Czemu ja te kalosze panu popsułem!

— A no, trudna rada, już się stało! Co za niedołęga ze mnie, żeby z zamoczenia nóg zaraz takiego kłócia w piersiach dostać! To moja wina, że ze mnie taki chlerak!

— Jabyłem chciał... proszę pana... mam tu parę rubli...

Mundzio trząsł głową przecząco.

— Ten tylko pożyczyc może, kto ma pewność oddania. Ja od ciebie nie wezmę ani grosza. A nuż to taka choroba z której się umiera? Z tamtego świata nie odeślę ci pieniędzy, więc na tym świecie od ciebie nie pożyczę!

Napróżno Adaś prosił, Mundzio był nieubłagany, więc tylko w sekrecie przed chorym wziął but jego od pani Zorewiczowej i kupił kalosze, które zaraz odniósł na poddasze do którego znał już drogę.

— Gdy Mundzio wstanie — rzekł do pani Zorewiczowej — będzie miał przynajmniej czem się zabezpieczyć od nowego zaziębienia. Pieniądze za kalosze odda mi potem.

Adaś wrócił do domu ogromnie zmartwiony. Udawał, że się uczy, siedząc z łokciami opartymi o stół i z głową wspartą na rękach, a tymczasem rozmyślał smutnie. Ciągłe widział rozgorączkowaną twarz Mundzia, ciągle słyszał jego kaszel i głos chrapliwy. Co ten Mundzio mówił o śmierci? Czy to może być, żeby on był chory śmiertelnie?

— Florku! — zagadnął Adaś — Czy ty byłeś kiedy na pogrzebie takiego młodego chłopca jak... ja, albo trochę starszego?

— Byłem. Pamiętasz tego Józia co to umarł ze szkarlatyny?



Wciągane wiosła i zamykano najmniejsze otwory... (str. 80).

— To on ze szkarlatyny umarł? Ale nie z zapalenia płuc? — zapytał Adaś.

— Pli! I z zapalenia płuc umierają! Umierają i na tyfus. Ja sam miałem brata stryjecznego...

Tu dopiero koledzy Adasia poczęli opowiadać o różnych chorobach z których poumierali różnaci młodzi chłopcy, a Adaś siedział jak na węglach, serce mu biło z żalu i chciałby płakać, ale nie mógł. Myślał ciągle o Mundziu i ciągle miał go przed oczami. W nocy nie spał, rozmyślał i rozmyślał aż nareszcie powziął postanowienie które mu trochę pociechy przyniosło.

Nazajutrz rano był jak w gorączce, wiedział jednak, że musi iść do klasy i poszedł; na obiad jednak nie wrócił, tylko przez kolegę oznajmił, że z powodu choroby Mundzia musi przedsięwziąć niektóre kroki konieczne z których później zda dokładny rachunek panu Janockiemu. Przeto z klasy pobiegł do Mundzia, którego zastał zawsze kaszlącego i rozpalonego a matkę jego w rozpacz.

Pani Zorewiczowa widocznie nie mająca nikogo blizkiego prócz drobnych dzieci nie mogących być dla niej ani radą ani pomocą, przyjęła Adasia jak przyjaciela. Przed nim rozwodziła żale z zaufaniem.

— Ach, mój drogi panie, co to za dobre dziecko ten mój Mundzio! To nasz opiekun, to dostarczyciel chleba dla rodziny i trzeba takiego nieszczęścia, że się zaziębił i może chory jest niebezpiecznie.

— Cóż doktor mówi? — zapytał Adaś.

— Doktor to jeszcze bardzo niedoświadczony... w tym roku zaledwo skończył medycynę...

— Dlaczego pani nie wezwie innego?

— Bo ten to syn przyjaciela i kolegi męża mojego... Ten nie weźmie ani grosza! Jakże to wzywać obcego, kiedy niema czem mu zapłacić!

Adaś pożegnał coprzedziej Mundzia i jego matkę. Miał on swoją myśl, z którą już tu przyszedł, a którą teraz tak gorąco pragnął wykonać, że zapomniał zupełnie, że to była pora obiadowa i nie zwracał uwagi na głód który mu dokuczał. Biegł coprzedziej do najbliższej apteki, do której wszedłszy rzekł grzecznie:

— Niech mi panowie raczą dać adres doktora Chałubińskiego.

— Pan go teraz w domu nie zastanie. On przyjmuje od piątej do szóstej... Ale to bardzo trudno do niego się docisnąć. Tam jest istne oblężenie u jego drzwi.

— Spróbuję się docisnąć — rzekł Adaś — Słyszałem, że to jest człowiek wielkiej nauki...

— O, i wielkiego serca — dodał aptekarz.

Adaś dostawszy adres, który otrzymać pragnął, biegł ku mieszkaniu doktora Chałubińskiego. Gdy się znalazł u drzwi, zadzwonił i ujrzał lokaja, który nie czekając na zapytanie wyrzekł:

— Pana profesora niema w domu. Przyjmuje od piątej do szóstej.

— To ja zaczekam — rzekł Adaś.

— Ale co znowu? Teraz dopiero trzecia. Toć to jeszcze dwie godziny. A i tak mam tu kilka biletów. Nie wiem czy pan profesor będzie miał czas.

Adaś pokornie i grzecznie powtórzył;

— Zaczekam... Muszę koniecznie kilka słów panu profesorowi powiedzieć.

— Wszedł do pokoju, w którym zwykle czekali pacjenci i usiadłszy, zagłębił się w rozmyślaniu o Mundziu. Czas włókł się dla niego długo nieskończenie. On chciałby co prędzej przyprowadzić słynnego lekarza do łóżka Mundzia a tu trzeba było czekać i czekać. Powoli poczekalnica poczęła się zapełniać. Wchodziły do niej postrojone damy, poważni panowie.. Strach ogarniał Adasia. A nuż profesor Chałubiński rzeczywiście czasu mieć nie będzie na przyjęcie go? Wyszedł do przedpokoju i począł bardzo usilnie prosić lokaja by go wpuścił pierwszego do doktora.

Ale lokaj kiwał głową przecząco. Pierwszeństwo mieli ci, co wczoraj nie dostali audyencji. Pozostawiali biletu.

— Ach, mój Boże! — zawołał Adaś — kiedy potrzeba spieszego ratunku. Ja nie mogę czekać do jutra!

Nareszcie na progu poczekalni stanął lokaj i wyrzekł głosem monotonnym nazwisko jednej z pań czekających,

Wezwana dama wstała spieszenie, by przejść do gabinetu profesora. Za nią zerwał się Adaś. Wcale nie wiedział, co uczyni i dlaczego na miejscu usiedzieć nie mógł. Niepokój pchał go ku jakienś nierozważnemu i samowolnemu wtargnięciu do pokoju, gdzie w jego pojęciu, znajdował się ratunek dla Mundzia. Wślizgnął się za damą dla której drzwi dość szeroko się otworzyły i głosem błagalnym, zgnębnym, wrzaszającym, zawołał:

— Panie profesorze!

Profesor Chałubiński lubił młodzież, lubił dzieci

i miał serce gorące i do liitości skłonne.

— Przepraszam panią — rzekł do wystrojonej damy — niech ten chłopiec powie czego chce.

(c. d. n.)



Wielki mur chiński.

WIELKI MUR CHIŃSKI.

W poprzednich numerach daliśmy wyjątki z podróży po Chinach, musimy więc wspomnieć jeszcze o słynnym murze oddzielającym je od nieprzyjaznego im kraju. Jakkolwiek wszelkie dzieła rąk ludzkich muszą uleść w końcu odwie-

cznym prawom zniszczenia, wszelako bywają pomiędzy niemi i takie, które w ciągu wielu następujących po sobie wieków, nawet w ruinie przemawiają wspaniałością swoją do odległych pokoleń, lub też wzbudzają podziw nad genialnością pomysłów i wytrwałością w pracy, dawno już nieżyjących twórców.

Do takich zabytków przeszłości należy słusznie policzyć wielki mur chiński, wzniesiony niegdyś w celu zasłonięcia Państwa Niebieskiego od napadów tatarskich, zbudowany na długości 300 mil geograficznych. Początek jego znajduje się na pustyni Gobi, pod Je-do, koniec zaś, sięga aż ku brzegom Morza Wschodniego. Jest on poprzedzielany wysokimi górami, jak to nawet widać na rycinie naszej i pomimo, że obecnie znacznie jest uszkodzony, zachował dotąd zarzys dawnej budowy sięgające od 18 do 25 stóp wysokości. Ponad tym murem sterczały niegdyś liczne strażnice, do 40 stóp wysokie, wzniesione z kamienia, cegieł i brył skalnych, wnętrza zaś broniły ciężkie i grube bramy z kutego żelaza.

Dziś leży on po większej części w gruzach, a każdy z myślących turystów, którego los zawiedzie w te strony, zastanawia się mimowoli, jak wysoko mógłby już stanąć naród chiński, gdyby zamiast trzymać się uparcie i dumnie swej dawnej cywilizacji, zechciał kroczyć pod sztandarem postępu na równi z innymi ludami na ziemi.

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

VII.

Na pokładzie Bonita.

— Czy wiesz Franciszku, że odnaleziono moje kuzynki. Dowiedziałem się o tem przed chwilą i spieszyłem właśnie aby ci powiedzieć.

— To dawne dzieje, wiem o tem od kilku godzin.

— Podobno signor Polani odnalazł je w chałupie na San Nicolo. Mój ojciec zachodzi w głowę, skąd mu przyszło na myśl szukać je na wyspie, a podobno nie chce powiedzieć, kto mu ten projekt podsunął.

Franciszek zawahał się przez chwilę. Z początku chciał mu opowiedzieć całą prawdę, ale potem pomyślał, że chociaż jego przyjaciel nie zdradzi dobrowolnie tajemnicy, to jednak może mu się wyrwać niebaczne słowo, i w ten sposób narazi go na istotne niebezpieczeństwo.

— Mniejsza o to, skąd signor Polani się dowiedział, najważniejsza że odnalazł swoje dzieci, i podobno przywiózł je z kobietą, która je zdradziła. Na szczęście uprzedził Ruggiera, bo tenby się z pewnością wymknął prędzej czy później z więzienia i uprowadził panny Polani dalej. Ale teraz na mnie kolej powiedzieć ci nowinę. Oto signor Polani dał mi miejsce u siebie i jutro odpływam na Wschód.

— Winszuję ci serdecznie, Franciszku; nieraz mi wspominałeś, że wolałbyś zostać z nami, niż wracać do Anglii. Ale dla czego tak nagle? Wczoraj nic mi jeszcze o tem zamiarze nie mówiłeś. Kiedyście się ułożyli? Polani o wschodzie słońca popłynął na San Nicolo, a później był zajęty w Radzie.

— Dziś się z nim widziałem, ale on już dawniej mówił o tem z moim ojcem, który ze względu na stronników Ruggiera wolałby żebym zaraz wyjechał z Wenecyi.

— Życzę ci powodzenia! a teraz dokąd idziesz?

— Pójdę do szkoły broni i pożegniam się z kolegami. Następnie pójdę złożyć moje uszanowanie pannom Polani, a resztę dnia spędzę z ojcem. Opuści on Wenecyę zanim powrócę z mojej podróży i pojedzie na stałe do Anglii.

— Będę ci towarzyszył do szkoły i do mieszkania moich kuzynek. Będzie mi ciebie bardzo brakowało, i dołożę wszystkich starań aby i mnie ojciec oddał do marynarki. Ile ciebie przygód czeka! Za kilka tygodni niechybnie będziemy mieli wojnę z Genuą, a wtedy należy się strzedz statków wojennych. Okręty Polaniego przedstawiają ponętą zdobycz i łatwo możesz oglądać genueńskie więzienie.

U Polanich zastali tylko córki, które ich najserdeczniej przyjęły

Jakże się cieszę drogie kuzynki — zawołał, wchodząc Matteo — że was znowu widzę. Cała Wenecya mówi o waszym powrocie. Jesteście bohaterkami dnia.

— Im prędzej przestaną mówić o nas tem lepiej, gdyż do tego czasu będziemy więzione w domu. Gdybyśmy tak bardzo obchodziły Wenecyan, to postaraliby się nas odnaleźć.

— Wszyscyśmy się starali Maryo, przeszukaliśmy każdą najmniejszy kącik, wypytywaliśmy się wszystkich gondolierów czy nie widzieli nie podejrzanego, ale komu mogło przyjść na myśl, że jesteście na San Nicolo! Ja całe dno spędzałem w gondoli, tak samo Franciszek, nie traciłszy czasu, tego możesz być pewna.

— Franciszek, to zupełnie co innego — zawołała Marya nie zwracając uwagi na znaki dawane jej przez naszego bohatera, Franciszek umie patrzeć i lepiej rozumie, niż wszyscy Wenecyanie. I gdyby nie wskazał ojcu miejsca naszego ukrycia, tobyśmy dotychczas były w mocy Ruggiera.

— Franciszek wskazał panu Polani wasze ukrycie? — zawołał zdziwiony Matteo. — To chyba on was odnalazł?

— Czyżes o tem nie wiedział? Naturalnie, że Franciszek a nie kto inny. Mówiłam wam, że gdyby nie on, tobyście wszyscy o nas nie wiedzieli. Julio, prawda, że jemu zawdzięczamy nasze ocalenie?

— Daruj mi, żem ci tego nie powiedział, Matteo — rzekł Franciszek — ale signor Polani i mój ojciec wymogli na mnie, że nie wspomnę nikomu o tem, żem się przychylił do uratowania jego córek; wszystko to zrzucił przypadek.

— O! nie przypadek — rzekła Marya. — Odnalazł nas pan, bo pan zwraca uwagę na to, co się wkoło niego dzieje. Ale ja nie wiedziałam, że to ma być tajemnica; ojciec nie był dziś u nas, i dla tego nie domyśliłyśmy się, że nie należy wymawiać pańskiego nazwiska. Na przyszłość się jednak poprawimy.

— Jak się to jednak odbyło, Franciszku — pytał ciekawiony Matteo — jeżeli wiem tak wiele, to mogę wiedzieć wszystko. Rozumiem doskonale, dla czego twój ojciec i pan Polani nie chciał aby o tobie mówiono i dla czego pragnie wysłać cię jaknajprędzej z Wenecyi.

Franciszek opowiedział całą historyę, a gdy skończył Matteo rzekł:

— Teraz nigdy nie będę powstawał przeciwko wioślanowi, bo widzę, że ono prowadzi do wielu ciekawych odkryć. Ale dobrze, że zaraz opuścisz Wenecyę, gdyż przyjaciele Moceniga bezwątpienia dojdą, kto odnalazł ich schronienie, a wtedy byłoby niebezpiecznie zostać w mieście.

— Jaktó? pan odjeżdża? — zawołały obie dziewczynki.

— Jutro odpłynę na jednym z okrętów waszego ojca.

— Już pan nie wróci? — zapytała Marya.

— Wrócę niezadługo; teraz wstąpię do służby signora Polani i będę pływał na jednym z jego statków. Ojciec mój wraca do Anglii a signor Polani był tak dobry, że mi ofiarował gościnność w swoim domu.

— Tak to dobrze, bo byśmy tego ojcu nigdy nie darowały, gdyby panu pozwolił odjechać nazawsze. Prawda Julio?

Ale Julia odeszła do okna i nie słyszała pytania.

— Za parę miesięcy pan wróci — mówiła dalej starsza panna Polani — i potem nie pozwolę ojcu, aby pana przed

wysłał. Zdaje mi się teraz, że mam brata, i bardzo dobrego brata, Mocenigo zostawi teraz pana w spokoju, a jak pan będzie z nami, to możemy być pewne, że się nie ośmieli nas porwać.

— Niema o to najmniejszej obawy, bo zanim się wydobędzie z więzienia, to mu przyjdzie ochota do nowych awantur.

Po godzinnej rozmowie przyjaciele wyszli.

— Tyś się chyba musiał w czepku urodzić — rzekł Matteo, wsiadając do gondoli. — To szczęśliwy chłopak! Nietylko, że go Polani pokochał jak rodzzonego syna, ale i panienki patrzą nań nieobojętnie.

Następnego ranka Franciszek rozmawiał z ojcem o przyśrołści.

— Mam nadzieję, że zobaczę cię kiedyś w Anglii, gdyż nie wątpię, że Polani pozwoli ci przyjechać do Londynu na jednym ze swoich okrętów. Jeżeli nie stanie coś nieprzewidzianego na przeszkodzie, to przyszłość twoja jest zapewniona. Polani będzie cię zawsze uważał za syna, a spodziewam się, że nie takiego nie zrobisz, coby zmieniło jego dobre usposobienie dla ciebie. Bądź ostrożny, bo nawet na statku kupieckim mogą cię spotkać różne przygody. Morze Śródziemne jest przepełnione piratami; których Wenecya pomimo wszelkich usiłowań nie zdołała jeszcze wytepić, w razie zaś wojny, Genuńczycy rabują kupieckie statki Wenecyi. Pamiętaj, że pierwszym obowiązkiem kapitana jest uratować okręt i ładunek i że tylko w ostatecznym razie ma prawo walczyć. A teraz mój chłopcze musimy się pożegnać, już czas ażebyś szedł na statek. Rad jestem, że Giuseppe ci towarzyszy, chłopak jest przywiązany do ciebie i może ci się bardzo przydać.

„Bonito” był to potężny dwunasztowiec, zbudowany raczej do przewożenia ciężarów niż dla szybkich podróży. W razie ciszy lub przeciwnego wiatru, miał trzydzieści wiosel, które go poruszały co prawda zwolna, ale w oznaczonym kierunku. Na pokładzie stał signor Polani i serdecznie powitał wchodzących.

— Przyszedłem pożegnać waszego syna, panie Hammond i przekonać się, czy pamiętano o jego wygodzie. Kapitanie Carpadio, oto jest młody człowiek, o którym panu mówiłem. Zapoznaj go pan z kierowaniem statku i komendą, jak również z handlowymi obrotami. Niech wie, gdzie można najtaniej kupić, a najdrożej sprzedać. Franciszku, to jest twoja kajuta.

Otworzył drzwi do obszernego pokoiku, w którym każdy sprzęt odznaczał się wykwentem.

— Dziękuję panu — rzekł Franciszek — jedyna wada tego pokoju, że jest za wspaiały dla mnie. Chciałbym być uważany, jak wszyscy uczniowie.

— Niema potrzeby, mój chłopcze. Jeżeli będzie jaka twarda i ciężka praca, to się od niej nie uchylisz, ale ty masz zostać kupcem, nie żeglarzem, pocóż więc sobie odmawiać wszelkich wygod? Nauczysz się prowadzić statek, nawet wtedy jeżeli nie zawalasz rąk smolą, a powinieneś wszystko umieć, bo inaczej nie będziesz wiedział co można wymagać od podwładnych. Teraz jednak pamiętaj, że masz mnie reprezentować na Wschodzie. Dlatego musisz podróżować, odpowiednio do swojej godności. Na pożegnanie przynoszę ci złe wiadomości. Galera rządowa, która popłynęła po Ruggiera, została napadnięta przez przeważające siły i pomimo silnego oporu w końcu uległa, i Ruggiero jest znów swobodny. Nie będę spokojny o Maryę aż wyjedzie ze mną, a zdaje mi się, że jest przychylną dla Ruffina Giustiniana, brata twojego przyjaciela; ja z całego serca zgodzę się na to małżeństwo i myślę, że nim wrócisz, to oni już będą zaręczeni. Ale otóż majtkowie podnoszą kotwicę, bądź zdrów mój chłopcze. Panie Hammond, czas abyśmy wrócili do naszej łodzi.

Ojciec i syn uścisnęli się serdecznie, poczem obaj kupcy wsiedli do łodzi i patrzyli stamtąd jak podnoszono kotwicę, rozwijano żagle i jak „Bonito” powoli wypływał z portu. Chwilę stali powiewając kapeluszymi, i odплыли, a Franciszek zwrócił się do stojącego obok Giuseppa.

— Cóż ty o tem myślisz?

— Nie wiem jeszcze Messer Francisco, w każdym razie zdaje mi się, że nasz statek nie obawia się burzy, nie go chyba nie poruszy, taki jest ciężki i mocny.

— Zobaczysz, jak wypłyniemy na pełne morze, nadejdzie czas, że ci się nasze słabe gondole wydadzą bezpieczniejszym schronieniem od tego potężnego okrętu. Od jak dawna jesteś na pokładzie?

— Od trzech godzin. Wzięła mnie ze sobą łódź, która przywiozła zapasy i meble dla pana. Signor Polani przysłał ze swoich piwnic skrzynię starego wina i mnóstwo innych przysmaków, nie potrzebuje się pan obawiać głodu.

— Wolałbym żeby nie przysyłał — rzekł Franciszek; wezmą mnie tu za łakomca. Czyja to jest kajuta?

— Zdaje mi się, że dozorca towarów, ale mówiono mi, że kapitan „Bonita” od tak dawna jest w służbie signora Polani, że się sam handlem zajmuje. Kajuta więc była niezajeta.

— A ty, gdzie będziesz spał?

— W korytarzyku przed drzwiami, Messer Francisco.

— Na to nie pozwolę, musisz mieć wygodniejszy kąć.

Giuseppe śmiał się do rozpuku.

— Całe życie spałem w gondoli, albo na słonie w kuchni i dobrze mi było, więc i tu wybornie mi będzie. Mógłbym pójść pod pomost i sypiać razem z załogą, ale tam byłoby mi duszno.

W godzinę później Bonito żaglował na pełnym morzu; wiatr był słaby i zaledwie wydymał wielkie żagle, majtkowie uwiali się na pokładzie, zwijali liny, szorowali burty, przygotowywali się do dalekiej podróży.

— Mamy wiatr pomyślny panie Hammond — rzekł kapitan, zbliżając się — jeżeli potrwa dłużej, to będziemy mogli opłynąć południowy przylądek Grecyi i przybędziemy do Kandyi, która jest naszym pierwszym portem. Bardzo lubię taki wiatr, pozwoli się on nam przygotować do drogi.

— Nasz „Bonito” wydaje mi się nieco ciężki — zauważył Franciszek.

— Dopiero w czasie burzy poznasz jego zalety — rzekł kapitan — nie da on się najgwałtowniejszej wichurze. Gdybym to ja to samo mógł powiedzieć o rozbójnikach morskich! Ale dotychczas „Bonito” był szczęśliwy i nie zdarzył mu się żaden zły przypadek.

— Jak liczna jest na nim załoga?

— Siedmdziesięciu ludzi. Mamy trzydzieści wiosel, a nieraz trzeba wiosła obsadzić podwójnie, wtedy płyniemy o wiele szybciej i łatwiej uciec przed piratami.

— Czy zdarzało się panu kiedy bić się z nimi?

— O nieraz! Gdy przed kilku laty dowodziłem „Lwem” napadły mnie trzy rozbójnicze okręta. Staliśmy w zatoce na kotwicy, i wiatr dął od strony morza; nie mogliśmy więc wypłynąć. Biliśmy się przez pięć godzin i w końcu statki nieprzyjacielskie musiały się cofnąć, dwa mocno nadwyższone, a jeden w płomieniach, bośmy mieli ogień grecki. Najgorsza sprawa z Genuńczykami.

— Mnie się zdaje, że jednak i wy dajecie im się we znaki?

— Odplacamy się pięknem za nadobne; niepodobna przecież, abyśmy pozwolili sobą poniewierać. My jesteśmy spokojni ludzie, i nie napastujemy nikogo.

— Pan wie, kapitanie, że Genuńczycy mówią to samo o was, zapewne i wy jesteście trochę winni.

Kapitan się rozśmiał.

— Niechby nie wchodzili nam w drogę na Wschodzie a my im nie odbieramy zachodniego handlu. Mają przecież Francję, Hiszpanią, zachodnie Włochy. Czyż im tego nie dosyć? Ale jak się spotkamy na morzu, nie obejdzie się bez walki i zazwyczaj my ich bijemy.

— Tak, zazwyczaj wy ich bijecie, zdarza się jednak, że Genuńczycy są górą.

Kapitan się nachmurzył.

— Nie mogę temu zaprzeczyć, chociaż musisz przyznać,

że okręta nasze są lepiej zbudowane i mają dzielniejszą załogę.

— Bezwątpienia i serdecznie podzielim niechęć pańską do Genui, bo chociaż jestem Anglikiem, przywiązałem się bardzo do Wenecyi, gdzie przez tyle lat mieszkałem.

W trzy dni po owej rozmowie, „Bonito” okrążył południowy cypel Morci i płynął ku Kandyi. Dla Franciszka podróż cała była niezmiernie przyjemną. Kapitan dawał mu wszystkie możliwe wskazówki, co do gatunku towarów, sposobu kupowania i sprzedaży. Codziennie także przeglądał wraz z nim mapy morskie, aby się obznajmić z drogami, które zazwyczaj odbywał „Bonito.”

Gdy im z oczu znikła Morea, pogoda się zmieniła; chmury gromadziły się na Zachodzie i kapitan rozkazał zwinąć wielkie żagle.

— Będziemy mieli silną burzę — rzekł do Franciszka — od dwóch dni już się spodziewałem niepogody, ale myślałem, że dopłyniemy do Kandyi. Teraz może nas w kąć zapędzić.

Wieczorem wiatr się wzmógł i rzucał statkiem na wszystkie strony, wciągano wiosła i zamykano najmniejsze otwory.

— Niepodobna jest płynąć w oznaczonym kierunku, musimy zbliżyć się do jakiej wysepki i zarzucić kotwicę pod jej osłoną. Radzę panu, Messer Francisco zejść do swojej kajuty, gdyż nie nauczyłeś się jeszcze chodzić po pokładzie w czasie burzy.

Franciszcowi jednak nie spieszo było opuścić pokład. Przyglądał się z ciekawością olbrzymim bałwanom, które podrzucały statkiem jak łupinką. Dopiero, gdy noc nadeszła i gdy już nic nie mógł rozróżnić oprócz białej piany i uginających się masztów, dopiero wtedy zeszedł do kajuty. Nazajutrz rano znów wyszedł na pokład, ale gęsta mgła zawisła nad morzem; widział jak wczoraj wielkie bałwany, wyższe niż dnia poprzedniego, o białych grzywach. Zdawało mu się za każdym razem gdy gonili okręt, że zgruchoczą ster, uderzając nań z góry, ale statek spieszył naprzód i z zadziwiającą lekkością dawał się unosić falom.

(d. c. n.)

CEBULA W SŁOIKU.

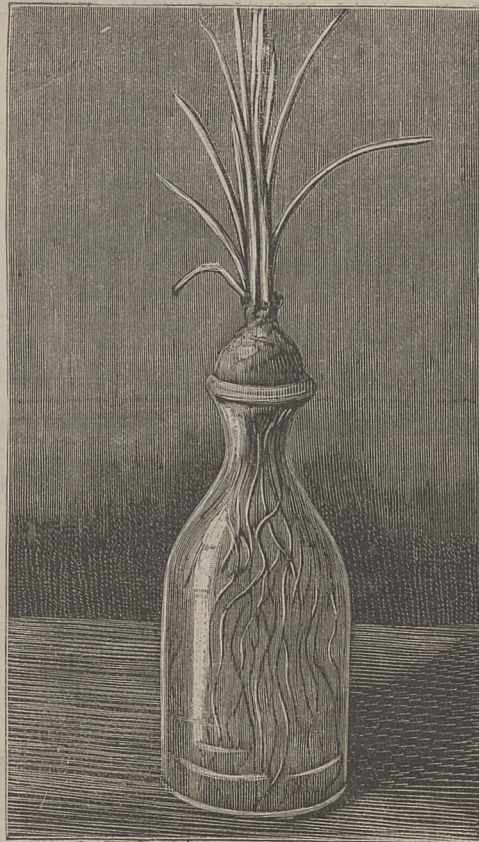
W botanice odróżniamy kilka rodzajów łodygi podziemnej, między innymi: korzeń, bulwę; cebulę.

Znany wszystkim korzeń konwalii, paproci, tataraku używanego w medycynie domowej, jako środek wzmacniający działa i włosy. wreszcie irysu, którego w niektórych okolicach używają dla nadania miłego zapachu bieliźnie. W tym celu krają go na cienkie plasterki, nawlekają na nitkę jak ziarna różańca i suszą na słońcu, aby następnie wygotowały z niego odwar wlać do balii przy praniu bielizny.

Bulwę nazywamy zgrubiałą, mięsisty wyrostek łodygi podziemnej, jaką właśnie posiada kartofel.

Cebula zaś jest to rodzaj pączka lub mięsistego jąderka, z którego wychodzą ku górze łuskowato leżące na sobie liście, ku dołowi zaś liczne włókniste, korzonki. W łuszkach owych okrywających jąderko mieści się zapas pożywej substancji. Cebulkę taką posiadają tulipany, hiacenty, narcyzy, wreszcie cebula ogrodowa. W cebulce tej, osłoniętej

od mrozu warstwą ziemi, ukryło się podczas zimy życie rośliny, które w części jej nadziemnej znikło. Z nastaniem wiosny zapasowa substancja w cebulce posłuży do wytworzenia się liści i kwiatów. Łatwo można wykazać, że cebulka zawiera w sobie to wszystko, co jest potrzebne do zupełnego rozwoju rośliny.



Umieścimy na wierzchu słoika z wązkim u góry otworem, napelnimy go pierwaj wodą, dużą cebulę ogrodową w taki sposób, aby dolna jej część dotykała wody. Postawmy potem słoik w bliskości pieca, po dniach kilku, pod wpływem ciepła, ukaza się białe korzonki, które wydłużać się będą z dniem każdym, aż wreszcie wypełnią naczynie. Należy tylko zmieniać codziennie wodę i pamiętać, aby cebula była z nią w zetknięciu. Dopóki nie ukaza się listki zielone na wierzchu, słoik z cebulą może stać w miejscu ciemnym, lecz gdy się tylko zaczęły pokazywać, trzeba je koniecznie wystawić na światło, aby przyjmowanie pokarmu za pośrednictwem liści, co może mieć miejsce tylko pod wpływem słońca, pomagało do rozwoju rośliny. Jest to hodowla bardzo łatwa, każdy ją może przeprowadzić w mieszkaniu, z pożytkiem nawet, gdyż wyrosły na wierzchu zielony szczyptor cebuli, przydaje się do niektórych potraw.

PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Borsuk opadnięty przez jamniki (z drzew.) — Pogadanka ze starszym bratem p. A. R. — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — Wielki mur chiński (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty) (z drzew.) — Dodatek: Przygody Zosi z kapeluszem, wierszyk (z drzew.) (dokończenie). — Grymaśnica, komedyjka w jednej odsłonie (dokończenie). — Mały Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni i rozwiązania, — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою, Варшава 17 Февраля 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Przygody Zosi z kapeluszem.

(Dokończenie).



3
IV. 4
Lecz zagłądanie to nie zabawia
Małej psotnicy ni chwilę,
Bo znów kapelusz na ziemi stawia,
Walając w kurzu i pyle.

V. 5
Ha! wymyśliła-ż wreszcie zabawkę,
Jakiejby nie zgadł nikt wcale.
Chce swój kapelusz zamienić w ławkę,
I zasiąść na nim wspaniale.

VI. 6
Ale wraz z takim śmiesznym zamiarem,
Patrzcie! już figiel skończony.
Kapelusz pod jej ciała ciężarem,
Pada na ziemię zgnieciony.
A biedna Zosia z guzem na głowie,
Naprzód już lęka się burki,
Od swojej mamy, gdy ta się dowie
O takiej psocie swej córki.

E. L.

HALINKA. Wszyscy mi dokuczają... Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

MARYSIA (*pieszczotliwie*). Moje ty biedactwo! Mój aniołeczku kochany!...

HALINKA. Nikt mię nie kocha, tylko ty jedna Marysiu!

MARYSIA. Ja nigdy mojej panienki nie przestanę kochać, tylko niech moje złotko nie płacze, bo znów główka bolić będzie.

HALINKA (*biorąc się za głowę*). Już boli bardzo! Jak mi tak będą dokuczać, to ja się rozchoruję i umrę.

MARYSIA. Och! panieneczko, nie trzeba tak mówić. Jeżeli główka boli, to proszę nie płakać, obetrzyć oczęta i spać się położyć.

HALINKA. Ja spać nie chcę...

MARYSIA. No, to nie trzeba. Niech się panienka tylko położy tu na kanapce, a ja opowiem śliczną bajeczkę.

HALINKA. Doprawdy? Umiesz jaką nową?

MARYSIA. Tak panieneczko. Opowiedziała mi ją wczoraj Kasia, moja przyjaciółka. Niech panienka tylko położy się na kanapce, będzie wygodniej słuchać. (*oprawia poduszkę na kanapie*). To taka śliczna będzie bajka o wróżce!

HALINKA (*kładąc się*). Marysiu, jak ty myślisz, czy wróżki istnieją w rzeczywistości?

MARYSIA. Ja jeszcze panienko, żadnej nie widziałam, ale wierzę w to, że czasami przychodzą do wybranych przez siebie osób i spełniają ich życzenia.

HALINKA. Tak mówisz? Hm, ja nie wiem doprawdy, wierzyć, czy nie wierzyć? Ale gdyby kiedy do mnie wróżka przyszła, to wiesz Marysiu czegobym żądała?

MARYSIA. Pewnie ładnych zabawek, albo nowej sukienki?

HALINKA. Ech! gdzie tam! Jabym ją prosiła, żeby mnie zabrała z domu i zaprowadziła gdzie daleko, do obcych ludzi, żebym już nie mogła tutaj wrócić!

MARYSIA. I nie żal byłoby panience, opuścić rodziców, siostrę, brata? Oni tak panienkę kochają!...

HALINKA. Nie wierzę w ich kochanie. Kto kocha, ten nie dokucza. A tutaj wszyscy mię łają tylko!... No, ale opowiadaj Marysiu tę bajkę.

MARYSIA (*siadając na niskim stołeczku*). Była sobie dziewczynka bardzo nieszczęśliwa...

HALINKA. Tak samo, jak ja?

MARYSIA. Jeszcze więcej panienko, nie miała mamy, ani ojca, ani siostry, ani brata, była bardzo biedną, nie miała wcale zabawek i zawsze była smutną, a jej towarzyszki wyśmiewały się z niej, dokuczały, ona jednak nigdy się na nie nie gniewała, łagodnie tylko upominała, żeby tego nie czyniły, bo to okazuje niedobre serca. Tej dobrej dziewczynce było na imię Anielcia i dobrą też była, jak anioł, najmniejszą rzeczą dzieliła się z drugimi,

(Dokończenie).

SCENA IV.

MARYSIA. Panieneczko, pani prosi do siebie.

STASIA. Zaraz idę. (*Wychodzi*).

MARYSIA (*zbliżając się do Halci*). Panno Halciu, proś tak nie płakać.

to też Bóg ją wynagrodził. Pewnej nocy przyszła do niej wróżka, taka śliczna pani w białej szacie i spytała: Czego chcesz odemnie Anielciu? Ja ci wszystko dać mogę. (*Marysia przestaje mówić i przygląda się Helci*).

MARYSIA. Już zasnęła, dzięki Bogu! Ale też grymaśny dzieciak z niej się zrobił. Nikt z nią rady sobie dać nie może. Ja jeszcze potrafię trochę ją uspokoić nieraz, ale pani mówiła, że takim postępowaniem, jak moje, to jeszcze więcej psuje się pannę Halcię. No, ale inaczej przecież nie można poradzić sobie z taką rozgrymaszoną dziewczyną. Ot i dzisiaj, żebym nie była tu przyszła, to płakałaby do wieczora. Bo jak się to zacznie mazać, to maże się i maże bez końca. I wszyscy muszą robić to, co ona chce, bo inaczej, udaje chorą, pani też myśli, że prawda i tak się martwi biedaczka, że mi jej żal serdecznie. Teraz będzie przynajmniej spokój, dopóki się ta grymaśnica nie obudzi, skorzystam też z czasu i pójdę pomagać w kuchni. (*Wybiega*).

SCENA V.

(*Halcia przez chwilę śpi spokojnie. Wchodzi Adalcia, ubrana w biel i zbliża się do niej*).

HALINKA (*budząc się*). Ach! pani! kto ty jesteś?

ADELICIA (*pochylając się nad Halcią*). Jam wróżka! Słyszałam, jak mówiłaś niedawno, że jesteś bardzo nieszczęśliwą, przyszedłam więc z pomocą.

HALINKA. Więc chcesz mię szczęśliwą uczynić? To dobrze, wróżko, cieszy mię to niezmiernie!

ADELICIA. Zejdź więc z kanapki i chodź ze mną, ja cię zaprowadzę tam, gdzie już nikogo z rodziny nie ujrysz.

HALINKA. Ależ ja nie chcę, żebyś mię z domu wyprowadzała.

ADELICIA (*zdziwiona*). Jakto? Nie chcesz? żartujesz chyba! Przecież słyszałam dobrze, jak niedawno mówiłaś, że gdyby wróżka przyszła do ciebie, to żądałabyś od niej, żeby cię zabrała z domu i zaprowadziła gdzie daleko, do ludzi obcych, żebyś już tutaj wrócić nie mogła. Życzenie to wypowiedziałaś w takiej chwili, że ja muszę je wypełnić. Chodź więc prędzej, bo czasu nie mam na stracenie.

HALINKA. Kiedy ja nie pójdę! Ja nie chcę!...

ADELICIA. Nie chcesz? Czemuż więc wpierw inaczej mówiłaś?

HALINKA. Bo myślałam, że wróżki nie istnieją wcale. Ale teraz moja dobra wróżko, ja cię bardzo proszę, nie zmuszaj mię do opuszczenia rodziców, siostry i brata, jaby'm bez nich żyć nie mogła!..

ADELICIA. Żartujesz sobie ze mnie Halinko, ale ja nie wierzę w to, co mówisz teraz, przecież nikt cię tu nie kocha, wszyscy łają tylko bezustanku. Przestań więc zwlekać i pozwól sobie dobrowolnie zawiązać oczy i zaprowadzić daleko, daleko od tego domu.

HALINKA. Wróżko, ja nie żartuję wcale, ja nie chcę stąd odejść, ja się boję! Idź już wróżko sama, idź, bo próżno mię namawiasz, ja nie pójdę z tobą!

ADELICIA. Musisz iść Halinko, ja nigdzie napróżno nie przychodzę. Tutaj przybyłam po ciebie i tylko z tobą odejdę. Rozkazuję ci więc, być mi posłuszną i nie

sprzeciwiać się mej woli. Krzywdy ci nie uczynię żadnej, zaprowadzę cię do domu takiego, gdzie na niczeniu zbywać ci nie będzie. Wszystko będziesz miała; nawe wesołe towarzystwo do zabawy. Zresztą nie zapominaj o tem, że spełniam własne twe żądanie.

HALINKA (*z płaczem*). Ja nie póję!...

ADELICIA (*surowo*). Tylko bez grymasów. Przysuś się do mnie, zawiążę ci oczy!

HALINKA. Ach! Boże! Boże! Pocóż ja mówiłam ta kie niedorzeczności.

ADELICIA (*zawiązuje Halci oczy i trzymając ją za rękę idzie ku drzwiom*). Chodź prędzej Halciu, nie ociągaj się, bo szkoda czasu!...

HALINKA (*wyrywa się gwałtownie*). Nie pójdę! wróżko nie pójdę!... Zostaw mnie!

ADELICIA. Ja ci mówię, że pójsć musisz!

HALINKA. Ach! wróżko, droga, kochana! Nie zabieraj mnie! Ja już będę inną zupełnie, poprawię się z pewnością! Już przestanę być grymaśnicą! Zostaw mię tylko w domu!...

ADELICIA. Nie mogę Halciu!

HALINKA (*z płaczem*). Stasiu! Zygmusiu! Ratujcie mnie!

SCENA VI.

(*Wbiega Stasia i Zygmus*).

STASIA (*odwiązując Halci przepaskę z oczu*). Czego ta krzyczysz Halciu? Mamę głowa boli, śpi teraz, pewnie nie obudziłaś.

HALINKA. Ach! Stasiu! musiałam krzyczeć, bo wróżka zabiera mię z domu.

ZYGMUŚ. Powinnaś się z tego cieszyć.

HALINKA. Kiedy ja nie chcę was opuścić!

STASIA. Doprawdy? A mówiłaś, że w domu czujesz się nieszczęśliwą.

ADELICIA. Tak, tak, wszystkim to powtarzałaś, ja też przyszedłam ci z pomocą.

HALINKA. Wróżko, ja już nie chcę twej pomocy. Ja mówiłam takie niedorzeczności, bo byłam złą, niedobrą, grymaśnicą. Powtarzałam, jak papuga, jedno w koło, nie namyślając się wcale nad znaczeniem mych słów.

ZYGMUŚ. Zawsze pomyśl siedm razy zanim słów powiesz.

HALINKA. Prawdę mówisz Zygmusiu. Jeżeli wróżka nie zabierze mię przemocą, to będę zawsze tak robić. I poprawię się zupełnie.

STASIA. Dałby Bóg, żebyś nareszcie przyszła do domu.

ADELICIA. Więc przyrzekasz Halinko poprawę?

HALINKA. Przyrzekam wróżko. I wierz mi, że o trzymam przyrzeczenia.

ADELICIA. Zostań więc w domu.

HALINKA (*biegnie do Adelci z radością i chce ją w rękę całować*). Dziękuję, serdecznie dziękuję.

ADELICIA (*ze śmiechem usuwa się*). Daj pokój Halinko!

ZYGMUŚ (*śmieje się*). Ha, ha, ha, przyjrzyj się Halce, lepiej tej wróżce.

HALINKA. Zygmsiu, jak możesz śmiać się z wróżki!

ZYGMUŚ. To nie żadna wróżka.

ADELICIA Wróżki nie istnieją na świecie.

HALINKA (*zdziwiona*). Jakto? Więc ta pani w bieli, kim jest?

STASIA. To Adelfia, nasza kochana kuzynka, która przed godziną przyjechała do nas.

HALINKA (*całując Adelfię*). Adelfiu, coś ty zmartwienia mi narobiła. Ale skądże ten pomysł?

ZYGMUŚ. Otóż ja ucząc się w sąsiednim pokoju, wysłuchałem całą twą rozmowę z Marysią. Gdy więc dowiedziałem się, że przyjechała Adelfia, której ty już tak dawno nie widziałas, zaraz przyszła mi ochota, wypłatać ci figla.

ADELICIA. Mnie się projekt Zygmunia bardzo podobał i z ochotą przyjąłem rolę wróżki.

STASIA. Ja chociaż z początku obawiałam się, żebyś się nie przestraszyła, w końcu zgodziłam się też na projekt Zygmunia i nie żałuję tego wcale, bo dowiedziałam się, że nas kochasz, choć troszeczkę.

HALINKA. Ależ ja was kocham bardzo, za nic na świecie nie chciałabym was opuścić. Jabym umarła z tęsknoty. Zapomnijcie o tych niedorzecznościach, które mówiłam dawniej bez zastanowienia. Kochana Adelfia w postaci wróżki napędziła mi rozum do głowy. Od tej chwili przestaję być grymaśnicą bo rozumem dobrze, że wy przez miłość czyniliście mi uwagi. Byłam rzeczywiście nieznośną! Nigdy teraz nie powiem, że mi źle w domu, że mi dokuczacie... Bo to nieprawda! Przy mamie jest najlepiej, tylko poza domem jest źle bardzo.

ZYGMUŚ. Wiwat! Niech żyje Halinka! Bo teraz stała się rozumną dziewczynką!

N....ka.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Tak, uniknęliśmy prawdziwego niebezpieczeństwa. Ale w czasie odpływu, możemy bezpiecznie zejść na dół, fale nie dosięgną nas. Spostrzegłam, wbiegając do groty, jak ta straszna fala unosiła coś błyszczącego, podobne to było do pudełka, wpadło na taras, ale woda zmiotła je niewiadomo gdzie... Może je odnajdziemy... Boję się bardzo, że nasz zastaw na ryby popsuty i może zapas drzewa zabrała woda... Pójdę zobaczyć..

— O, ja ci nie pozwolę, tutaj wiem żeś bezpieczna— wołał Iwonek.

— Puść mnie, zejść tylko na chwilkę.

— Nie, o nie! I malec uchwycił rękę siostry, krzyząc przeraźliwie.

— Ależ uspokój się! Gdy się tak boisz, zostanę. Jutro popołudniu, kiedy przyplływ się skończy, pójdziemy razem zobaczyć, co się tam dzieje na dole.

Deszcz padał tak ulewny, że już i przed grotę wyjść nie było można. Dzieci resztę dnia przepędziły czytając, rozmawiając, bawiły się w różne gry, które chociaż było ich tylko dwoje, udawały się dobrze. Iwonek śmiał się i prosił Melci by każdą grę powtarzać po kilka razy. Katastrofa ranna była zapomnianą. A jeżeli Melci cień

smutku osiadał na twarzy, starała się ukryć go przed Iwonkiem, szczęśliwa, że widzi go wesółym i rozbawionym.

Nazajutrz rano, zaraz po przebudzeniu, dzieci wybiegły na taras. Dziedziniec pełen był wody... zastawka na ryby zdawała się uszkodzoną, a zapas traw morskich bardzo uszczuplony; olbrzymia fala większą jego część zabrała z sobą.

— Iwonku — zapytała Melcia — czy widzisz tę skrzynkę?

— Nie, ale widzę śliczną maleńką mewę, ot tam, tam...

I pokazywał ręką ptaszynę, która chciała podfrunąć do góry, ale bezsilna znów upadała na wodę, na której nóżki pletwowate służyły jej za wiosła, pozwalały utrzymać się na powierzchni.

— Zdaje mi się, że ma skrzydło złamane — rzekła Melcia. — Biedna ptaszyna! To fala wczorajsza musiała wyrzucić ją z gniazda, i tak rzecz dziwna, że nie zabiła jej na miejscu.

— Musiemy ją pielęgnować, Melciu? A później oswoi się i bawiąc się z nią, będziemy mieli wielką przyjemność — odrzekł Iwonek.

— Ale dla niej mniejszą to będzie przyjemnością, w każdym jednak razie nie zginie z głodu, a miejmy nadzieję, że wkrótce i fruwać zacznie... Ale cóż ja widzę... zdaje się skrzynkę jakąś tam niedaleko schodów... Ten odłam skały zatrzymał ją w miejscu! — Melcia aż poczerwieniła ze wzruszenia na myśl, że ta skrzynka pochodzi zapewne z rozbitego wczoraj statku.

Z wielką niecierpliwością dzieci oczekiwały końca odpływu morza, i skoro tylko ukazał się wilgotny piasek, Melcia zbiegła na dół, by coby prędzej zobaczyć skrzynkę, zdaleka wołając na brata:

— Cała jest z blachy... Co też w niej być może? Pewno musi być ciężka, bo bardzo duża...

Melcia spróbowała ją ruszyć, mimo przekonania, że nie zdoła jej podnieść, to też wielkie było jej zdziwienie, gdy skrzynka okazała się stosunkowo dość lekką. W każdym jednak razie sama do groty zanieść jej nie byłaby w stanie.

— Pobiegnij Iwonku po nóż ojca — mówiło dziewczę do brata, sądząc, że jest jeszcze blisko groty, gdy on tymczasem zeszedł już też na dół i biegł za mewą, która się kryła przed nim.

— Zostawże tego ptaka, odstraszysz go zupełnie, gdy inaczej, za kilka dni przywyczaiłby się do nas niezawodnie, bo mewy oswajają się bardzo łatwo. A gdzie nóż?

Ale Iwonek nie słuchał siostry, zajęty cały gonieniem ptaka, który wreszcie schował się w szczelinę skały.

— Melciu, Melciu — zawołał nagle chłopiec — chodź i patrz co ja znalazłem, ja sam tylko, pamiętaj o tem.

I malec trzymał oburącz pakiet daleko większy od niego, nie mogąc naturalnie ruszyć go z miejsca. Melcia pospieszyła do brata i pomogła mu posunąć worek mocno upakowany. Ale czem? Dzieci domyślić się nie mogły, zarówno dla nich tajemniczą była jeszcze zawartość blaszanego pudła.

— Pójdę sama po nóż ojca — powiedziała Melcia — poczekaj na mnie.

(d. c. n.).

ZA GADKA.

Sfinksa odgadnięta przez Edypa.

Co to za dziwne zwierzę, które miewa w wiośnie
Cztery nogi, a dwie zaś do letniej podróży,
Podczas gdy na jesieni trzecia mu przyrośnie
I już do późnej zimy, przy chodzeniu służy?

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Pieszczoszka rodziców dla Pocieszki rodziców.

Z następujących sylab: A—der—a—ma—mu—i—cin—ka—i—eu—wą—in cy—zi—land—wis—ga de—mi—rad—mie—cin—ta—kar—na bea—flan—mon—ma—ni na—log—ty—ni—ra—ny—ti— ułożyć 14 wyrazów z następującym znaczeniem: 1) Wyspa na morzu Bałtyckim. 2) Zakonnik muzułmański. 3) Ptak z rodz. brodzących żyje w Ameryce Połud. 4) Wyspa afryk. na oc. Atlantyckim. 5) Zwycięzca na Kossowem Polu. 6) Dzień w którym się odbiera podarki. 7) Miasto nad rz. Ohio. 8) Spis przedmiotów jednego gatunku. 9) Więzień w Labiryncie Krety. 10) Dawna nazwa jednej z wysp greckich. 11) Zwierzę z gromady gadów. 12) Kraina nad m. Bałtyckim. 13) Wódz słynny w wojnie Grecko-Perskiej. 14) Pora roku.

Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry do dołu złożą imię i nazwisko poety, końcowe zaś tytuły dwóch jego utworów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

Zagadki: K o ń.

Łamigłównki sylabowej:

1) Portsmouth. 2) Owadożerne. 3) Jatagan. 4) Diar-bekir. 5) Zielony. 6) Meksyk. 7) Yankes. 8) Zaleski. 9) Antylle. 10) Neron. 11) Izaak. 12) Missuri. 13) Paleologowie. 14) Ojcow. 15) Trembecki. 16) Odyniec. 17) Patry-cyusz.

Pójdźmy za nim — Potop. — Henryk Sienkiewicz.

Zadania konikowego:

Gdy Pan Bóg nie błogosławi
Siła ludzka nic nie sprawi.

Skrzynka do listów.

Radzimy ci Starszy braciszku iść za wskazówką naszą i odwrócić górą na dół rycinę umieszczoną w Nr. 7 Wieczorów, w ówczas sam dojdiesz tego o co nas w liście zapytujesz, to jest ujrzysz odmienne na obrazku główki. Jest to figiel rysunkowy ułożony dla rozrywki czytelników.

Przyjemną nam była wiadomość że Wieczory, które mama Kazia P. zaprenumerowała dla swoich dzieci, czytane są z zajęciem. Wierz nam jednak Kaziu, iż równie zadowoniłaby nas pewnością, że nietylko chwilową rozrywkę, ale jednocześnie moralną i umysłową korzyść przynosi im to czytanie, że uwagi jakie Kazio znajduje w Wieczorach czynią go pilnym i chętnym w spełnianiu obowiązków, dla siostrzyczek zaś kochającym, uprzejmym i wyrozumiałym bratem. Lubo bowiem nie wątpimy o dobrych przymiotach naszych czytelników, pragnęlibyśmy widzieć ich coraz doskonalszymi.

Poświęciłaś *Promyczku* z Białej Rusi własne fundusze na prenumeratę „Wieczorów”. Stanowi to jedną więcej rękojmnią, że je czytać potrafisz z pożytkiem, człowiek bowiem to zwykł cenić najwięcej, co pewną ofiarą okupić musi. Nie wątpimy też, że znajomość nasza pod dobrą wróżbą zawiązana, mić będzie cechę trwałego stosunku, a twojej zacnej nauczycielce za przechowanie dla nas życzliwości, szczerze jesteście wdzięczni.

Leśna Paproć dobrze odgadła szaradę. Cieszymy się iż z takim zajęciem czytuje *Wieczory*, wnosząc, że treść ich tem głębiej wnuknie w jej myśl i serce.

Łamigłównki starannie ułożone przez prenumeratorkę z *Winicy* i jego kolegę, prawdopodobnie zyskają uznanie.

Dobre rozwiązanie łamigłówek nadstali: *Rybak* z nad Wisły *Marylka K.*, *R. S.* z *Kalisza* *Julian N.*, *Lutek* i *Witek K.* z małą poprawką, *Gustaw J.*, *wesoła Figlarka* i *Wróblík.*

Dziękuję ci *Lewkonjo różowa* za udzielony zajmujący opis zajęć twoich dziennych, widzę, że jesteś pracowitą dziewczynką, która z czasu korzystając umie spędzając go pożytecznie dla siebie i drugich. Cieszę się też, że kochasz swoją nauczycielkę i wdzięczną jesteś za jej starania. Piękne to świadectwo zasług przewodniczki, a niemniej dowód szlachetnych skłonności uczennicy. Stosunek podobny zamienia się zwykle z czasem w prawdziwą i niezmieniącą przyjaźń. Zaciekałaś unie również wiadomością o spisywanych przez ciebie i siostrzyczkę twoją pamiętnikach, muszą one zawierać dużo zajmujących z życia waszego szczegółów i kto wie, czy dla podsłuchania kilka z nich ustępów, nie zjawi się z wiosną nad waszem okienkiem życzliwa wam z *Redakcyi* ja-skółka.

Redakcyja nasza uwzględnia chętnie życzenia grzecznego jak ty ptaszka *Wróblíku*, czego dowód miałeś w przesłaniu ci spiesznem początku powieści „Orla skała”. *Szaradę* odgadłeś trafnie, a list napisałeś tak porządnie i bez błędu, że nie wątpię, iż niebawem częste i długie odezwy odbierać będę od życzliwego mi *Wróblíka*.

Radabym widzieć *wesoła Figlarko* szarady i żywe obrazy przez was układane. Dowodzi to gruntownej znajomości historii św. z której, jak mówisz, czerpiesz główne temata. Życzę wam więc nadal powodzenia w tej zabawie.

Pytasz *Iskierko* czy będę rada nowej korespondentce? To jakbyś pytała kogo czy rad gdy mu dostatków przybywa! Im więcej serc życzliwych dokoła, tem milej i lepiej na świecie każdemu, a cóż dopiero małej ptaszynie którą ogrzewacie ciepłem waszych uczuć przyjaznych, ożywiacie wesolnością waszej szczęśliwej młodości, pociągacie urokiem waszej swobody! Na dowód szczerości z jaką cię witam *Iskierko* wśród grona moich korespondentek, radzę abyś poprzestała na drugiej połowie obranego pseudonimu, gdyż lód i ogień trudno jednym objąć mianem.

Przecieniasz zalety moje wodna *Lilijko*, odpowiadać na listy jest prostym dla każdego obowiązkiem grzeczności, a tem więcej odpisywać na mile i serdeczne odezwy naszych młodych przyjaciół nie stanowi to zasługi, ale raczej prawdziwą przyjemność. Jeżeli przyslesz do *Redakcyi* dokładny swój adres, początek „Orlej skały” będzie ci wysłany.

Jaskółka.

